

Wspomnienie naocznych świadków egzekucji 21 października 1939 r. (sobota) w Lesznie (prokurator Verlohren):

„Przed oblicze sądu postawiono ponownie 20 oskarżonych. Przewodniczący [G. Flesch] oświadczył, że za podżeganie i występowanie przeciwko Niemcom zostają skazani na karę śmierci, a wyrok będzie natychmiast wykonany. Na sali rozpraw ustawiono trzy wiadra. Skazańcy musieli do nich włożyć nakrycia głowy i wszystkie osobiste rzeczy wartościowe. W grupach 10 osób zostali potem wyprowadzeni na tzw. plac zamkowy przed gmach sądu...[...]

Na placu czekał pluton egzekucyjny – 30 policjantów. Dla zabezpieczenia muru przed kulami ustawiono worki z piaskiem. Skazani stawali twarzą do ściany z podniesionymi do góry rękoma. W pierwszej grupie jeden ze skazańców nie został trafiony i strzelano do niego powtórnie. Następnie lekarz policyjny stwierdzał zgon. Jednak w większości przypadków zachodziła konieczność dobijania z pistoletu. Komando polskich więźniów załadowało zwłoki na przygotowany samochód. Doprowadzono drugą dziesiątkę skazanych, którą rozstrzelano w podobny sposób. Ludność Leszna powiadomiono o posiedzeniu sądu doraźnego i o wykonaniu wyroków poprzedniego dnia wieczorem. Ludzie przyglądali się egzekucji z odległości 40-50 m. Do żadnych rozruchów nie doszło...”

[J. Zielonka, *W cieniu swastyki*, Leszno 2004, s. 96-99.]

Egzekucje były instrumentem terroru wobec ludności polskiej na okupowanych przez III Rzeszę terenach. Według wspomnień Karola Kandziory:

„Atmosfera i życie w Poznaniu i na prowincji stawały się z dnia na dzień cięższe. Dochodziły straszne wieści o rozstrzeliwaniach po miastach i miasteczkach Bogu ducha winnych obywateli, których sprowadzano na miejsce stracenia, a spędzoną ludność zmuszano do obecności podczas egzekucji. Hiobowe wieści te się sprawdzały. Plakaty czerwone, naklejane na murach Poznania obwieszczały, że ten [a ten] lub ci zostali straceni za posiadanie broni lub za „zakłócanie miru publicznego”. [...] Licznych aresztowań dokonywano codziennie i wywożono do miejsc nieznanych. Zapelniały się więzienia i kazamaty fortów podmiejskich.”

[K. Kandziora, *Pamiętnik z wygnania (1939-1943)*, Poznań 2007, s. 45.]

Zachowały się liczne relacje i zeznania o mordach dokonywanych przez funkcjonariuszy załogi wartowniczej obozu (SS-Wachkommando), a także znęcania się i maltretowania w Forcie VII w Poznaniu:

„Zgaszono światła i w celi zapanowała głucha cisza. Coraz wyraźniej słyhać było ryki i śpiewy pijanych gestapowców, ucztujących w kantynie [...], ryki zdawały się coraz bardziej zbliżać. [...] Tumult, skrzypienie otwieranych drzwi do cel, słowa komendy, wyzwiska, przekleństwa, głuche trzaski bicia, jęki katowanych, śmiechy gestapowców, strzały rewolwerowe [...]. Czuliśmy, że noc dzisiejsza będzie okropna. W chwilę potem światło zabłyśło w celi. [...] Porwaliśmy się z legowisk jak szaleni, zderzając się z sobą i potracając wzajem, stawaliśmy w dwuszeregu. [...] wywołano z szeregu pierwszego z brzegu. [...] zaczęto go bić trzciniową laską. Kazano mu głośno liczyć uderzenia. Gdy się pomylił lub jęknął,

zaczynano od nowa. Brano jednego po drugim. Gdy jeden z oprawców się zmęczył biciem zastępował go następny. Zresztą inni, widocznie zniecierpliwieni długim trwaniem egzekucji, sami zaczęli nas grzmocić, gdzie popadło. W rezultacie jednemu z nas złamano szczękę. Nie mógł biedak później ani mówić, ani jeść. Gdy przy katowaniu przewrócił się, zaczęto go kopać [...]. A 60-letni ksiądz dziekan M. dwukrotnie zemdlął i dostał 45 kijów.”

[A. Pietrowicz, *Lager der Blutrache*, „Biuletyn IPN“ 2009, nr 4, s. 31-32.]

Największym obozem dla wysiedlonych był obóz w dzielnicy Główna w Poznaniu przy ul. Bałtyckiej. Większość wysiedlonych w 1939 r. osadzona w tym obozie była mieszkańcami Poznania i powiatu poznańskiego. Wspomnienia więźniów:

„Był to duży obszar pokryty grubą warstwą śniegu i otoczony drutami kolczastymi. Na terenie tym były baraki pełne ludzi czekających na transporty, które miały ich wywieźć w różne strony Polski. My zostaliśmy umieszczeni w baraku nr 4. Był to jeden z największych baraków, piętrowy, z tym, że piętro stanowiły tylko balkony obiegające barak wokół. Na środku baraku znajdowały się wysokie żelazne piece. Na parterze i balkonach – słoma, na której gęsto pokotem rodzina przy rodzinie, leżeli ludzie. O ile sobie przypominam nasz barak mieścił około dwóch tysięcy wysiedleńców. Tu zbierali się wszyscy na wieczorne apele, tu słuchaliśmy różnych zarządzeń, stąd wreszcie rozbrzmiewała szerokim echem modlitwa i pieśń wieczorna wysiedlonych.”

[H. Wróblowa, *Z różnych pieców jedliśmy chleb* [w:] *Wysiedlenie i poniewierka 1939-1945. Wspomnienia Polaków wysiedlonych przez okupanta hitlerowskiego z ziem polskich „wcielonych” do III Rzeszy*, wybór i opracowanie R. Dyliński, M. Flejsierowicz, S. Kubiak, Poznań 1974, s. 540]

Według wspomnień Karola Kandziory o obozie dla wysiedlonych na Główniej w Poznaniu:

„Płacz, gwar, wrzaski i w dodatku to niesamowite powietrze mogły rozchełstać do ostateczności najsilniejsze nerwy, toteż widziało się nieraz twarze matek zniszczone i smutne – o, jakżeś bardzo smutne, obojętnym i obłądnym wzrokiem wpatrzone w jakąś nieistniejącą dal. Panią inżynierową [Janinę] Czarnecką [żonę architekta miejskiego inż. Władysława Czarneckiego] z alei Szelałagowskiej, z własnej pięknej willi przywieziono do obozu zimną nocą z pięciodniowym dzieckiem. Jedna z kobiet w baraku pierwszym powiła w prymitywnych tych warunkach maleństwo, które z braku wody wykąpano w ciepłej kawie. Nie są to opowiadki, ale fakty! Przewożono nawet do obozu obłożnie chorych, których na prześcieradłach wnoszono do wnętrza baraku. [...] Dla sprawiedliwości trzeba dodać, że zdarzało się także, że żołnierze eksmitujący mieszkańców byli bardziej ludzcy, dawali więcej czasu, a nawet pomagali różne przedmioty pakować. Wypadków takich było jednakże bardzo mało.”

[K. Kandziora, *Pamiętnik z wygnania (1939-1943)*, Poznań 2007, s. 45.]